

ROBERT HICHENS.

## Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starewskiej.

TOM I.

20

Przewróciła się znowu na poduszkach i wysunęła ramiona, poczem przyłożywszy ręce do twarzy, uczuła, że ma policzki rozpalone. I przypomniała sobie, jak dawno temu, jako młoda mężatka, leżała kiedyś w nocy, obudzona i uczyniła ten sam ruch. To było wkrótce, po spotkaniu człowieka, dla którego się rozwiodła, który zrujnował jej towarzyskie życie. Czy życie powraca w swoje ślady? Przypomniała sobie gwałtowną i porywającą radość tej tajemnej miłości, która, ostatecznie, została zrzuconą w pył na widok całego świata. Czy uczuje taką radość znowu? Czy było możliwem, żeby ją czuła?

Czy była do tego zdolna po wszystkim, co przeszła w życiu?

Wiedziała, że jest zdolna i obawa jej była połączona z uczuciem tryumfu, gdyż czuła, że z latami zdolność jej do odczuwania tego, co było dla niej radością, nie zmniejszała się, lecz wzmożła. I to uczucie wzmożenia, dawało jej wrażenie młodości.

Nawet Nigel powiedział: „rozkwitasz tutaj”. Nawet on, którego tak łatwo i zupełnie oszukała, widział w niej jasno tę prawdę.

Kiedy powróci z Fayum, żeby z nią pozostać, lub co prawdopodobniejsze, zabrać ją tam z sobą?

Głosy, które ją dochodziły daleko z Nilu, umilkły. Noc w końcu ukołysała śpiewaków i ułożyli się do snu, pod płaszczem milczenia. Lecz Mrs. Armine leżała wciąż z otwartymi oczami.

Kiedy Nigel przyjedzie, żeby ją zabrać do namiotu w Fayum, co wtedy? Nie będzie teraz o tem myślała, lecz pójdzie za swym temperamentem. Miała przed sobą dwa tygodnie wolności, ona, która ją posiadała przez tyle lat, teraz miała tylko dwa tygodnie. Użyje ich, jak można najwięcej. Nie będzie się zajmowała niczem, tylko chwilą obecną. Wycisnie, wycisnie złoty sok, zawarty w teraźniejszości.

Namiot w Fayum — może go nigdy nie zobaczy, może nigdy nie wyjdzie z Niglem, w nocy, słuchać egipskiego Pana, nad wodą.

Nie — na pewno usłyszy jutro śpiew Barondi'ego, na pewno będzie mogła jutro patrzeć na niego, jak będzie śpiewał.

Wsunęła ramiona do łóżka i gorączkowo okryła się kołdrą.

Musi spać, gdyż jutro twarz jej nosiłaby ślady bezsennej nocy, a Barondi wpatrywał się w nią, śpijąc.

Znowu chwyciła ją bojaźń.

## XVIII.

Następnego poranku, późno, zbudziła się w Mrs. Armine kobieta, która przez długi czas zdawała się być pogrążona w letargu, kobieta, która przed laty zaryzykowała swą opinię dla miłości więcej fizycznej niż moralnej, i kiedy ruina ją otoczyła, puściła wyzywająco wodze złej stronie swojej natury.

Dopiero, po przebudzeniu w tym nowym dniu, całkowicie pojęła długi swój wysiłek, który ją zmęczył i rozdrażnił jej nerwy i usposobienie. Dla pozyskania męża, grała rolę, a po uzyskaniu go, nie wychodziła z tej roli. Komedya, którą odgrywała do tej pory, nie wydawała się jej trudną, pomimo, że były chwile, kiedy namiętnie pragnęła okazać się taką, jaką była w rzeczywistości. Lecz teraz, po spędzeniu kilku godzin z człowiekiem, który odczytywał ją właściwie, nie pragnął w niej żadnej moralnej piękności, żadnego wysiłku cnoty, ani żalu za swe dawniejsze postęпки, uczuła ciężar jarzma, które nosiła i zapłonęła gwałtowną chęcią odwetu. Znajdowała, że los był jej ciężko dłużnym i postanowiła, że musi jej spłacić ten dług do ostatniego grosza.

Uwolniona z krepującej ją obecności męża, i z ciężaru jego ustawicznego, chociaż ukrytego poszukiwania moralnej nagrody, której nigdy nie byłaby w stanie mu dać, cała jej natura zdawała się gwałtownie powstawać.

W ciągu dni, które bezpośrednio nastąpiły, czuła się więcej sobą sama, niż kiedykolwiek przedtem, i doznawała dziwnego, prawie dzi-

kiego wrażenia ulgi, którą czasem odczuwają ludzie Zachodu, kiedy się stykają z gorącym, subtelnym barbarzyństwem Wschodu, Wschodu, który żadnych pytań nie zadaje, i który opuścił „dlaczego?” w swoim słowniku.

Barondi był tak zupełnie pozbawiony wszelkich skrupułów, jak przeciętny, dobrze urodzony Anglik jest niemi przepelniony. Bez wątpienia, musiał mieć swój kodeks, którego się trzymał w postępowaniu ze swymi współwyznawcami, lecz ten kodeks wydawał się być zupełnie biernym, kiedy chodziło o stosunki z ludźmi innej rasy i wiary.

Mr. Armine była kobietą, a więc w jego oczach stała na niższym poziomie niż on sam. Pomiedzy przymiotami, jakie posiadał w oczach Mrs. Armine, bez wątpienia nie na ostatnim miejscu stał jego brak szacunku dla kobiet, jako kobiet. Ogólnie przyjętem zdaniem o kobietach jest, że jakkolwiek niskoby która z nich upadła, nie opuszcza jej nigdy skryte pragnienie być szanowaną przez mężczyznę. Czy Mrs. Armine podzielała to pragnienie, czy nie, jedno jest pewnem, że jej mąż miał dla niej szacunek, który ona nosiła jak kajdany; Barondi nie miał dla niej żadnego szacunku, a ona nosiła ten brak jakby kwiat. Przy zwiedzaniu Lonlii, odczytując, jak to często kobiety czynią, charakter człowieka z przedmiotów, którymi dobrowolnie się otoczył, Mrs. Armine od razu chwyciła pewne rysy jego usposobienia, które w zwykłym z nią obcowaniu mógł lafwo ukryć. Obok przenikliwości, subtelności, kompletnego braku skrupułów, zuchwałości, jakkolwiek pozornie ogładzonej grzecznością, lecz w istocie twardej i zimnej, jak stal, była w nim naiwność, nieledwie chłopięca prostota, zdumiewająca, nieucywilizowana naturalność, które tem bardziej pociągały, że były nieoczekiwane. Człowiek, który kupił zegar z kukłką, umieścił połączoną kukłkę w fontannie, który zakłócił harmonię przyćmionych barw, zawieszając kotłar pomarańczowo-ogniściego koloru, zdającą się odbijać dzikie błyski jego natury, szedł ręką w rękę z aferyzystą, zmysłowym marzycielem, subtelny dyplomata. Połączenie takie było dość dziwne, chociaż nie stanowiło wyjątku w krainie słońca. Odpowiadało ono zamilowaniu nowości w Mrs. Arminie, dając jej poznać, że pomimo jej doświadczenia życiowego z mężczyznami, istniała jeszcze *terra incognita*, na której mogłaby postawić nogę; a chociaż nie dbała o dzieci, nie pragnęła nigdy dziecka, była przekonana, że lubiłaby pieścić jego dziecko, bawić się z niem i opiekować. Obawiała się Barondiego, a jednocześnie śmiała się do niego. Chwilami wydawał się jej przeczczystym, jak szkło, chwilami znów czynił wrażenie skały, pogrążonej w ciemnościach nocy. A on nigdy nie dbał o to, czy ona patrzy przez szkło, czy stoi przed nieprzenikloną skałą.

Nigdy, ani na chwilę, nie zdawał się zważać na to, co ona o nim myśli. I absolutny jego egoizm wywoływał szacunek jej egoizmu, była zmuszona przyznać, że posiada jej przymioty, lecz w stopniu mężczyzny, świetniejszym, w połączeniu z czemś tajemniczym, co wypływało może z jego rasy.

Każdego dnia Hanza, modląc się poganiacz osłów, oczekiwał na nią na jakimś umówionem poprzednio miejscu, po zachodniej stronie rzeki, a Ibrahim jej towarzyszył i uśmiechał się łagodnie, trzymając różę w rękach.

Daleko, na rzece, pomiędzy Arnaut, a pomiędzy pomarańczowemi ogrodami Barondi'ego stała na koiwicy Lonlii, i każdego dnia, Barondi na swej białej łodzi, płynął w dół rzeki, żeby się spotkać z europejską kobietą. Towarzyszył mu tylko wysoki Nubijszyk Aujont. Turysci, którzy przyjeżdżają do Luksoru, rzadko kiedy przekraczają pewne, określone granice. Dnie ich upływają na brzegu rzeki, pomiędzy wsiami a Tebami, wśród świątyń i grobowców na zachodniej stronie, albo w Karnaku świątyni Luksoru, w sklepach starożytności, lub w cieniu lasków palmowych obok brunatnych domów Karnaku i minaretów Luksoru. Kto wymknie na północ Kurna, na południe Medinat-Haba, lub na wschód, góry zamykające Arabską pustynię, usuwa się z przed oczu ludzkich i plotek.

Barondi i Mrs. Armine spotykali się na terytorium południowym, czasem pomiędzy górami, czasem w dolinie, lub pod cieniem posadzonych rzędami drzew pomarańczowych.

Kiedy Mrs. Armine opuszczała rano brzeg rzeki u stóp ogrodu, nie pytała się Ibrahima dokąd ją zawiezie; wsiadając na osła, nie za-

dawała żadnego pytania Hanzie. Oddawała im się w ręce, pozwalała się wieść, jak pierwszego dnia swej wolności.

Jak pierwszego dnia swej wolności! Wkrótce zapytała siebie, czy wiara Islamu nie jest w części prawdziwą i dla tych, którzy poza nią stoją. Lecz miała często wrażenie nieograniczonej wolności, myśląc o przestrzeni, która ją dzieliła od Feyum, nie widząc oczu, które ją prosiły o dary, nie słysząc głosu, który błagał dla niej o błogosławieństwo.

I tak przyciskała czasem do łona widmo wolności, w radosne, pogodne poranki, kiedy Ibrahim przychodził jej oznajmić, że czas wyjechać, i słyszała śpiew wioślarzy na feluce. Jeżeli jej przeznaczenie przywiązane u szyi, były chwile, że o tem zapominała, czując w sobie siły młodości, i myśląc o kobiecie, która pewnego dnia siedziała w gabinecie konsultacyjnym Meyera Isaacsona, jako o zupełnie obcej osobie, z którą nic ją nie łączyło.

Lecz pomimo, że Mrs. Armine w tych dniach swej wolności, jak je nazywała, miała chwile rozradowania, miewała także chwile przygnębienia, niepokoju, zastanowienia się nad przyszłością; chwile te bywały tem częstsze, im lepiej zaczęła pojmować swoją naturę. Nigdy nie przypuszczała, że może rzeczywiście dbać o jakiegoś mężczyznę, dbać z zapalem, z siłą, która pociąga za sobą pragnienie posiadania, nie skutkiem kobiecej próżności, lub chciwości, lecz skutkiem jakiegoś daleko głębszego uczucia. Nie wyobrażała sobie nawet, że w średniej epoce swego życia, może nastąpić także zmartwychwstanie. Starła się nieraz oszukiwać siebie, że odpowiedzialnym za tę zmianę jest Egipt. I patrząc na potężne ramiona Barondi'ego, a on widząc jej wzrok, rozumiał ją lepiej, niż ona chciała być zrozumianą.

A. Mahmond-Barondi? Czy odgrywał się jakiś dramat za tą silną, zagadkową powierzchownością, którą wystawiał na widok świata i tej kobiety?

Mrs. Armine nieraz nad tem się zastanawiała, i nie mogła dojść do stanowczego wniosku. Wiedziała o nim bardzo mało. Pomimo, że dość często mówił o sobie w każdym spotkaniu, wracała do wili z umysłem nie wolnym od pytań. Była z nim dziwnie swobodną i naturalną, ponieważ nie prosił ją o nic, czego by dać nie była w stanie. Lecz mężczyzna wschodni nie czyni zwierzeń kobiecie zachodniej, a sposób jego myślenia jest inny niż sposób myślenia mężczyzn zachodnich.

Na Hohenzollernie Barondi bez wątpienia uplanował sobie widywać się z nią, jak teraz się widywał. Nie powiedział jej, lecz była tego pewną. Czy nie wiedziała o tem na staiku? Jak wiele w zamienionych spojrzeniach było pytań i odpowiedział

Pomimo swego życiowego doświadczenia, mówiła sobie, że nie wiedziała. W samym Barondi'm, w jego postępowaniu z nią było wiele, czego mogła nie wiedzieć.

Coś jednak o nim wiedziała. Ojciec Barondi'ego był bogatym turko-egipcjaninem. Matka, była piękną Greczynką, która przyjęła islam, kiedy jego ojciec w niej się zakochał i zaproponował jej małżeństwo. Zamknęła się w haremie i tam umarła, pozostawiając tego jedynego syna.

Turko-egipcjanie są z reguły bardziej czynni, despotyczni, może bardziej chciwi niż czystej krwi egipcjanie. W czasach przed protektorem angielskim zajmowali ważne stanowiska pomiędzy rządzącą klasą Egiptu. Napelniali swe kieszenie łupiąc podwładnych z niemilosierdną charakterystyczną u ludzi wschodnich. Przyszli Anglicy i położyli tamę ich niszczycielskiej grabieży. I do dziś dnia w sercu turko-egipcjanina sympatya jest o wiele rzadszą niż nienawiść do Anglika. W naturze turko-egipcjanina spotyka się nie rzadko coś, bardziej zbliżonego do natury Anglika, niż w naturze czystej krwi egipcjanina.

Barondi wychował się w atmosferze anglofobii. Jego ojciec, choć bardzo bogaty, stracił swe znaczenie przez-anglików. Posiadał dawniej władzę, musiał się z nią pożegnać. Spokojność do grabieży została mu spokojnie oddana przez ludzi, noszących helmy zamiast turbanu i którzy, uznając, że niema boga prócz Boga, nie uważali Mahometa za jego proroka. Nienawdził więc Anglików i nauczył swego syna ich nienawdzić, lecz nie ośmielając się, nie głośno. (C. d. n.)